

Kołodko: Nowy Pragmatyzm ostatnim gwoździem do trumny neoliberalizmu

Dlaczego neoliberalizm jest niebezpieczny? Co musi zrobić Polska, aby wejście do strefy euro było dla nas opłacalne, i czy Polacy wyjdą na ulice? - w specjalnym wywiadzie dla Forsal.pl prof. Grzegorz W. Kołodko.

Komu powinna służyć ekonomia?

Na szczeblu państwowym – społeczeństwu, a na szczeblu ogólnym – cywilizacji, ludzkości, a nie grupom specjalnych interesów.

Tylko pod tym mógłby podpisać się właściwie każdy.

Nie, pod tym nie może się podpisać każdy i pod tym się większość nie podpisuje. Większość opiniotwórczych osób traktuje ekonomię jak instrument załatwiania różnych spraw, które służą konkretnym interesom, niejednokrotnie kosztem ogółu czy też innych grup, słabszych graczy uczestniczących w rynkowej gospodarce.

Ekonomia, rozumiana jako dziedzina wiedzy o społecznym procesie gospodarowania, ma służyć dochodzeniu do prawdy. Jeśli ktoś potrafi zbudować większy gmach z rozpoznanych naukowo i uogólnionych prawidłowości i praw obiektywnie rządzących procesami gospodarczymi, to wtedy mamy teorię. Tak być powinno, natomiast w wielu przypadkach tak nie jest. Dla niektórych ekonomia nie jest dyscypliną naukową, lecz instrumentem lobbingu, czyli zabiegania o interesy poszczególnych grup, albo instrumentem ideologii, a więc walki o forsowanie jakiegoś systemu wyznawanych wartości, który jedni chcą narzucać drugim, niekoniecznie we wspólnym interesie.

Które grupy interesu są dziś najsilniejsze w Polsce?

W Polsce jest wiele grup interesu, natomiast najbardziej wpływowym z punktu widzenia manipulowania opinią publiczną i posługiwania się w tych manipulacjach pseudoekonomią, jest skompromitowany zarówno moralnie jak i profesjonalnie nurt neoliberalny. Czasami z przekąsem nazywam go nadwiślańskim neoliberalizmem (gdyż ma swą lokalną konotację), który poprzez swoje wpływy w polityce, w mediach i w niektórych sektorach gospodarki – zwłaszcza w organizacjach pośrednictwa finansowego i konsultingu – troszczy się o poprawę sytuacji materialnej nielicznych kosztem większości. Do tego sprowadza się istota neoliberalizmu.

A jednak w swojej książce pisze Pan, że dobiega nas dźwięk wbijania przedostatnich gwoździ do trumny neoliberalizmu.

Neoliberalizm jest główną, zasadniczą przyczyną obecnego kryzysu. Jest to kryzys bardzo rozległy, dotyczący nie tylko sfer finansowej i produkcji, lecz również sfery społecznej, politycznej oraz ideowo-moralnej. To jest kryzys systemowy, ale nie kapitalizmu i nie gospodarki rynkowej w ogóle, tylko ich dewiacji w postaci neoliberalizmu.

Neoliberalizm przy pomocy różnych wyrafinowanych metod – złej regulacji albo deregulacji rynku, odrzucania interwencjonizmu państwa i osłabiania jego pozycji, manipulacji systemem fiskalnym – sprzyja wzbogacaniu się wąskich grup, często poprzez pogarszanie, częściej relatywne, ale bywa, że i bezwzględne, szerokich grup społeczeństwa. Wystarczy wspomnieć, że w USA w roku wejścia Reagana do Białego Domu, 1 proc. najbogatszych Amerykanów zawłaszczał około 9 proc.

całkowitego dochodu, a w roku 2007, w przeddzień eksplozji kryzysu finansowego, było to już około 23 proc.

Za neoliberalnym pięknoślowiem kryją się wielkie interesy, dlatego zrozumiałe jest, że przy wbijaniu tego przedostatniego gwoźdźca do trumny neoliberalizmu wierzga on nogami. A już powinien wylądować tam, gdzie jego miejsce, czyli na śmietniku historii. Aby jednak tak się stało, trzeba mieć w to miejsce do zaproponowania coś odmiennego.

Co jest zatem realną alternatywą dla neoliberalizmu?

Jedni proponują kapitalizm państwowy takiej czy innej proveniencji – inaczej on wygląda w Rosji, inaczej w Chinach, a jeszcze inaczej na Bliskim Wschodzie. Nie sądzę, aby którykolwiek z tych modeli zasługiwał na lansowanie jako recepta na lepszą przyszłość ludzkości. Natomiast kontrpropozycje – nie tylko teoretyczna, ale przecież i realna – w postaci nordyckiej społecznej gospodarki rynkowej z pewnością jest atrakcyjną, godną naśladowania formacją.

W swoich ostatnich książkach o światowych problemach proponuję Nowy Pragmatyzm. Koncepcję tę rozwijam szerzej w najnowszej książce pt. „Dokąd zmierza świat. Ekonomia polityczna przyszłości”. Z jednej strony zasadniczo odrzucam neoliberalizm – czy też, jak chcą inni, współczesny leseferyzm – z drugiej natomiast dystansuję się od kapitalizmu państwowego. Nowy pragmatyzm opieram na eklektycznej koncepcji, w której można znaleźć pewne elementy zarówno neokeynesizmu jak i ekonomii strony podażowej czy monetaryzmu, tak instytucjonalizmu, jak i ekonomii behawioralnej. To ujęcie z gruntu heterodoksyjne. Nowy Pragmatyzm prowadzić ma do tworzenia społecznej gospodarki rynkowej, ale teraz już uwikłanej w nieodwracalny – bo taki ma on charakter – proces globalizacji. Na tej podstawie rozwijam dalsze propozycje co do instrumentacji długofalowego i potrójnie zrównoważonego rozwoju społeczno-gospodarczego – nie tylko ekonomicznie, a więc odnośnie do finansów, handlu i inwestycji, lecz również w sferze społecznej oraz ekologicznej.

A co jeśli nie się uda przeforsować tych alternatywnych koncepcji?

Jeśli się nie uda – na co liczą przede wszystkim niepoprawni w swojej naiwności neoliberalowie, dążąc do powrotu do *business as usual* według ich szkodliwych z punktu widzenia zrównoważonego rozwoju recept – czeka nas Jeszcze Większy Kryzys. Zapowiadając w „Wędrującym świecie” nadejście tego obecnego, tak właśnie określiłem ten potencjalny przyszły; dużymi literami – JWK. Dzisiaj wielka gra idzie o to, aby tego uniknąć. Innymi słowy, chodzi o racjonalizację zglobalizowanej gospodarki i jej podstawowych ogniw.

Wiele podmiotów gospodarczych, konsumentów, inwestorów, przedsiębiorców, menedżerów, polityków dało się wytrącić z racjonalnego myślenia. A racjonalny jest ten, kto działa na własną korzyść, zważywszy na informacje. Jeśli dokładnie przyjrzymy się, kto i jakie informacje nagłaśnia, to możemy podać wiele przykładów, od USA do Polski, manipulowania opinią publiczną. Chodzi w tym o to, aby ludzie na pozór zachowując się racjonalnie i sądząc, że działają na własną korzyść, działali na cudzą korzyść i własnym kosztem.

Dlatego neoliberalizm jest tak niebezpieczny i szkodliwy. Aby jednak wbić ten ostatni gwoździec do jego trumny, trzeba mieć nie tylko lepszą koncepcję; trzeba ją również spopularyzować, trzeba uczynić z niej nurt dominujący, a do tego wciąż daleko.

PoPKBowska gospodarka wymaga poPKBowskiej ekonomii, a ta poPKBowskiej polityki gospodarczej. Co to oznacza?

Żyjemy w czasach poPKBowskich w tym znaczeniu, że maksymalizacja PKB to nie jest dobra recepta na przyszłość. Zbyt często posługujemy się tą kategorią dlatego, że jest łatwa i wyraźna. Rzeczywistość jednak wymaga istotnie odmiennego konceptu i nowoczesnej strategii rozwoju, zarówno w skali całego świata, jak i poszczególnych gospodarek narodowych.

Jeśli to ma być nowa strategia, to musi opierać się na nowej teorii, która właściwie definiuje cele i jest poprawna z logicznego i metodologicznego punktu widzenia. Nie może być dobrej polityki – ani w Polsce, ani gdziekolwiek indziej – jeśli nie będzie opierała się na właściwej teorii ekonomicznej.

Skoro stosowanie miary PKB jest łatwe i powszechne, czemu mielibyśmy ją porzucać?

Przy PKB gubi się z pola widzenia to, co jest coraz ważniejsze w społecznym procesie gospodarowania. PKB nie mówi nam nic na temat relacji czasu wolnego i czasu pracy. Amerykanie mają wyższe PKB na mieszkańca nie dlatego, że są znacznie bardziej wydajni w jednostce czasu, czy też mają wyższy poziom zarządzania, ale przede wszystkim dlatego, iż dłużej pracują.

PKB nie mówi też nic o tym, jak kosztowna jest maksymalizacja dochodu z punktu widzenia nadmiernej eksploatacji zasobów i dewastacji środowiska naturalnego, co stanowi już egzystencjalne zagrożenie – jeśli nie dla nas, to dla następnych pokoleń.

PKB nie mówi nam nic na temat tego, jak ten dochód się dzieli. Inna jest bowiem sytuacja, gdy współczynnik Giniego, mierzący rozwarstwienie społeczne, oscyluje wokół 0,7, jak w Namibii, a zupełnie inna, jak jest na poziomie 0,25, jak ma to miejsce w Szwecji. Albo inaczej; zdecydowanie lepsza jest sytuacja w kraju A, gdzie PKB jest, dajmy na to, niższy o 10 procent, niż w kraju B, jeśli równocześnie w tym drugim współczynnik Giniego jest jakościowo większy, np. w kraju A wynosi 0,30, a w kraju B 0,50.

Jest jeszcze szereg innych zjawisk związanych z jakością życia społecznego, z kulturą, ze społeczeństwem obywatelskim, ale także z efektywnością kapitału, z konkurencyjnością przedsiębiorstw, z dynamiką tradycyjnie rozumianego wzrostu, które leżą poza obszarem PKB.

Musimy zatem spojrzeć nie tylko dalej, ale i szerzej. Istnieje pilna potrzeba konstruowania nowych mierników postępu społecznego i rozwoju gospodarczego, bo od tego jak się mierzy, zależy dokąd się zmierza. I w tej sprawie zgłaszam w książce pewne propozycje w postaci ZIP – Zintegrowanego Indeksu Pomyślności.

A dokąd zmierzać powinniśmy?

Abyśmy nie zmierzali w kierunku kolejnego kryzysu, musimy odejść do fałszywych wartości typu „chciwość jest dobra” (*greed is good*). Musimy odejść od schematu, w którym celem nadrzędnym każdej gospodarki narodowej jest maksymalizacja tempa wzrostu gospodarczego bez oglądania się na koszty społeczne, a celem każdej firmy jest maksymalizacja stopy zwrotu z zaangażowanego kapitału bez oglądania się na efekty zewnętrzne. Powinniśmy zmierzać do takiego układu w ramach trójkąta wartości-instytucje-polityka, aby w globalnej gospodarce sprawnie funkcjonowały instrumenty rozładowywania sytuacji konfliktogennych, zanim staną się konfliktowe. Powinniśmy zmierzać do społecznej gospodarki rynkowej, w której państwo tak reguluje aktywność ukierunkowanego na zyski sektora prywatnego, że sprzyja to wzmacnianiu spójności społecznej. Rozkwit prywatnej przedsiębiorczości ma być sprzęgnięty z interesami ogólnospołecznymi. I o to właśnie chodzi w Nowym Pragmatyzmie.

Jak Pan widzi przyszłość strefy euro?

Euro stanowi dobry sposób wpisania się w nieodwracalną globalizację. Dzięki temu powstaje – fakt, nie bez problemów, w znojmym wysiłku – większy i silniejszy podmiot, który z czasem powinien być jeszcze bardziej zdolny do konkurencji z innymi częściami współzależnej gospodarki ogólnoświatowej. Świat przyszłości – za kilkadziesiąt lat, pod koniec wieku, w odróżnieniu od starego już świata z początków tego stulecia – nie będzie dzielił się na blisko dwieście gospodarek narodowych, ale będzie się składał z kilkunastu dużych regionalnych ugrupowań integracyjnych oraz Chin, które są tak olbrzymim rynkiem, że nie muszą się integrować z nikim, poza całą resztą świata.

Czy wstąpienie do strefy euro jest korzystne dla polskiego społeczeństwa?

Wszystko co jest korzystne dla polskiej gospodarki, jest korzystne dla polskiego społeczeństwa, a więc także przystąpienie do europejskiej unii walutowej.

Dlaczego zatem Polska powinna przyjąć wspólną walutę?

Po pierwsze, wspólna waluta zmniejsza koszty transakcyjne, które są olbrzymie. W Polsce ponosimy rok rocznie koszty przekraczające 40 mld zł tylko z tytułu wymiany pieniądza. Każdy importer i eksporter musi nieustannie wymieniać pieniądze. Czynimy to samo jako turyści. To jest łatwy, w zasadzie pozbawiony ryzyka, przychód pośredników finansowych – sektora bankowego, kantorów. Grupy te nie będą szczęśliwe nazajutrz po tym, jak zniknie złoty, bo zniknie znaczna część tak intratnego dla nich rynku wymiany złotego na euro. Ale na dłuższą metę i dla nich jest to korzystne.

Po drugie – i, co ważniejsze – funkcjonowanie w ramach obszaru euro eliminuje ryzyko kursowe. Dziś bardzo wielu polskich przedsiębiorców nie decyduje się na uruchomienie dłuższych serii produkcji eksportowej, a przede wszystkim nie podejmuje decyzji inwestycyjnych, nie mając gwarancji co do tego, jaki będzie kurs w przyszłości. Po co mają zwiększać moce wytwórcze, skoro w obliczu kryzysu te istniejące nie mogą być w pełni wykorzystane? A zwłaszcza po co – ile?, w co?, jak? – mają inwestować, skoro nie wiadomo, co będzie opłacalne w handlu zagranicznym, bo nie wiadomo, ile będą otrzymywać za euro uzyskane w eksporcie?

Mówiliśmy o pewnych teoretycznych zaletach wejścia do strefy euro. Jakie praktyczne warunki powinny zostać spełnione, aby Polska faktycznie na tym dobrze wyszła?

Po pierwsze, politykę w Polsce musimy opierać na założeniu, że euro przetrwa obecny kryzys. Osobiście przyjmuję takie założenie, ale stuprocentowej pewności mieć nie możemy. Euro może nie przetrwać – to mało prawdopodobne, ale niewykluczone. Jeśli zepchnie się wpierw Hiszpanię, a potem Włochy w zapaść w stylu greckim, to euro nie przetrwa. Nie musi do tego dojść. Jeśli Niemcy dojdą do wniosku, że utrzymywanie euro jest dla nich zbyt kosztowne, to euro nie przetrwa. Nie powinni dojść do takiego wniosku, bo jak dotychczas najbardziej na euroizacji skorzystały.

Po drugie, politykę tę musimy prowadzić tak, aby idąc do euro, dokonać określonych zmian strukturalnych, poprawiających konkurencyjność naszej gospodarki i wzmacniających pozycję konsumenta, o którego interesy wciąż dba się za mało.

I po trzecie, należy wejść do strefy euro przy właściwym kursie – to jest sprawa najważniejsza. Nie kiedy, ale z jakim kursem. Powtarzam to od lat.

Co to oznacza?

Właściwy jest taki kurs, który dobrze prowadzonym firmom, o zdyscyplinowanej załodze i dobrej klasy zarządzaniu, umożliwi konkurencyjność międzynarodową. Polska – będąc wciąż tylko umiarkowanie otwartą gospodarką – jeśli chce rosnać w ponadprzeciętnym tempie, musi oprzeć się na strategii wzrostu napędzanego przez eksport. Tymczasem w ostatnich latach rośnie wolniej niż gospodarka światowa. Warto uzmysłowić sobie, że w czasach rządowego bajdurzenia o „zielonej wyspie” światowa produkcja rośnie szybciej niż w Polsce i w rezultacie nasz udział w światowej produkcji spada, a nie zwiększa się. Podczas ćwierćwiecza posocjalistycznej transformacji, w latach 1989-2013, średnie roczne tempo wzrostu osławionego PKB wynosiło zaledwie około 3 procent; tyle co dla całego globu. I to przede wszystkim dzięki wysokiej dynamice osiągniętej w latach realizacji „Strategii dla Polski”, 1994-97, oraz przyspieszeniu uzyskanym po zainicjowaniu „Programu Naprawy Finansów Rzeczypospolitej”. Gdyby nie to, to wskutek chybionego szoku bez

terapii z początku lat 1990. i szkodliwego przechłodzenia gospodarki w końcu tamtej dekady, zostawalibyśmy jeszcze bardziej w tyle.

Patrząc zaś w przyszłość pod kątem wprowadzenia Polski do euro i euro do Polski, eksport musi być dla dobrze prowadzonych firm opłacalny, co zasadniczo zależy od poziomu kursu. Nie możemy zgodzić się na przystąpienie do euro przy nadmiernej aprecjacji złotego, nie można zaakceptować kursu przewartościowanego złotego przy ustalaniu jego referencyjnego poziomu z partnerami z Unii Europejskiej. Będzie to przedmiotem negocjacji i będziemy podczas tego procesu pod bardzo silnym naciskiem określonych grup interesu.

Jakich?

Tych, których interesy związane są z firmami i krajami eksportującymi do Polski. Grupom tym będzie zależało, aby Polska weszła do strefy euro z silnym złotym. Znów tzw. znani ekonomiści i skorumpowani publicyści – a także najzwyczajniej w świecie lobbyści, bo lobbying jest czymś normalnym, jeśli nie posługuje się kłamstwem i nie wprowadza cyniczną premedytacją opinii publicznej, a zwłaszcza decydentów politycznych i menedżerów w błąd – będą opowiadać bzdury w mediach, że „złotówka” (polski pieniądz nazywa się złoty) się wzmacnia i że jest to dobre. Otóż jeśli złoty wzmacnia się nadmiernie, to polska gospodarka słabnie. Nadmierne wzmocnienie złotego już przechodziliśmy, gdy polski eksporter uzyskiwał za euro 3,2 zł, zaś za dolary 2 zł. Rozłożyło to m. in. przemysł stoczniowy i teraz statki, które nadal można by produkować w Polsce, wodowane są gdzie indziej. Tak bardzo proeksportowy sektor w tych warunkach nie mógł wytrzymać zagranicznej konkurencji, nawet gdyby był perfekcyjnie zarządzany i bazował na najlepszej technologii.

Komu się opłaca wejście Polski do strefy euro przy kursie 3,5?

Niemcom, Francji i wszystkim tym, którzy sprzedają nam swoje towary, bo to tam eksport do Polski nakręca koniunkturę, podnosi zyski, tworzy dodatkowe miejsca pracy, poszerza bazę podatkową, daje wyższe dochody do budżetu. Tego nikt nie będzie mówił głośno, tylko będziemy słuchać pseudonaukowych argumentów nieuczciwych (i „znanych”) ekonomistów, że im silniejszy złoty, tym lepiej.

Przy kursie 3,5 za euro będziemy taniej wyjeżdżać na narty w Alpy.

Oczywiście to prawda – jak i to, że również taniej będzie na snowboardzie, na którym ja zjeżdżam – ale tutaj niezbędny jest kompleksowy rachunek. Jak kurs wpłynie na wielkość długu publicznego, którego część jest długiem zagranicznym? Jak kurs wpłynie na import i eksport, a w rezultacie na saldo obrotów towarowych z zagranicą? Jak oddziaływać będzie na rozmaite transfery i, koniec końców, na bilans płatniczy? A jak na zadłużenie gospodarstw domowych? Jak kurs wymiany w dłuższym okresie wpłynie na dynamikę gospodarczą?

Zbyt silny złoty byłby niekorzystny, ale słaby złoty również byłby niekorzystny. Przy zbyt słabym pieniądzu drożeje wsad importowy, który podnosi koszty produkcji, co prowadzi do nasilania inflacji kosztowej. Oczywiście byłaby to dobra nowina dla turystyki przyjazdów, ale już zła dla wyjazdowej – dla tych szusujących w Alpach narciarzy. Słaby złoty nakręca też inflację bezpośrednio, bo niejako automatycznie wszystko co z importu staje się droższe. Uprawniony jest tylko rachunek kompleksowy, a nie wybiórcze manipulowanie raz tym, raz innym wycinkiem współzależnego układu gospodarczego.

Gdzie jest zatem złoty środek?

To nie jest jakiś jeden punkt, to jest raczej wąski przedział – obecnie znajduje się gdzieś pomiędzy 4,10-4,20 złotego za euro. Akurat aktualny kurs jest dobry, korzystny dla naszej gospodarki. Natomiast co do przyszłej konwergencji, to nie należy się godzić na kurs mniejszy niż 4 złote za

euro. A już lobbyści złej sprawy „prognozują” za kilka lat kurs 3,50. To by poważnie zaszkodziło Polsce.

Gdyby wszak w ciągu najbliższych kilku lat wskutek żywiołowych mechanizmów na rynkach finansowych, a także wskutek szybszego wzrostu wydajności pracy w Polsce niż na Zachodzie, co jest dobrą wiadomością, tak się stało, że euro będzie kosztowało 3,5 złotego, to wówczas trzeba opóźnić wejście do strefy euro. Jak trzeba będzie, to nawet poprzez zwiększenie deficytu budżetowego, aby nie spełniać kryteriów z Maastricht.

26 lutego podczas posiedzenia Rady Gabinetowej ustalono, że Polska skupi się na spełnieniu kryteriów z Maastricht, zaś dyskusję o dacie przyjęcia euro odłożono na okres po wyborach prezydenckich 2015 r.

I słusznie. Ta dyskusja będzie wracała wielokrotnie – z różnym nasileniem, z różnych powodów, zarówno wewnętrznych jak i zewnętrznych. Jeśli Grecja ogłosi niewypłacalność – a uważam, że tak się stanie po wyborach parlamentarnych w Niemczech i po tym, jak osiągnie (już prawie jej się to udaje) równowagę pierwotnego budżetu, a więc nie licząc kosztów obsługi długu publicznego – to będziemy sobie zadawać pytanie, po co wchodzić do takiej strefy euro. Będzie tu dużo fajerwerków, także zupełnie jałowej dyskusji, ale też – mam nadzieję – coraz więcej zrozumienia istoty sprawy zarówno wśród szerokiej publiczności, jak i w gronie wpływowych polityków. Dyskusja ta będzie się również toczyć po wejściu do unii walutowej.

Kiedy to się stanie?

Przy obecnych realiach politycznych Polska może wejść do strefy euro około roku 2018. Nie sądzę, aby stało się to wcześniej, natomiast możliwe jest, że stanie się to jeszcze później. Przy czym – raz jeszcze – nie termin jest tu najważniejszy, lecz kroczenie do strefy euro w sposób sensowny. Najważniejsze jest, przy jakim stanie się to kursie.

1 marca minister Rostowski zaproponował, aby oprócz kryteriów z Maastricht określić własne warunki, które pokażą gotowość Polski do przyjęcia euro – na przykład trwałe obniżenie bezrobocia do poziomu niższego od średniej w strefie euro lub korzystny rating polskiej gospodarki.

Koncert życzeń. To nie są poważne propozycje i nie wymyślałbym takich dodatkowych warunków. Ważny jest kurs wymiany i kryteria z Maastricht, które trzeba spełnić w sposób strukturalny, trwałe, na bazie zdrowej, konkurencyjnej gospodarki, a nie koniunkturalny. Bez kuglarstwa i twórczej księgowości, którą po części uprawia minister Rostowski. Wszystko to, o czym mówimy od dawna – nie od ostatnich narad politycznych – jak poprawa konkurencyjności, obniżanie bezrobocia, wzrost gospodarczy itp. to są słuszne i szlachetne cele. Szkoda tylko, że polityka obecnego rządu doprowadziła do olbrzymiego wzrostu bezrobocia; mogło być jednocyfrowe, zbliża się do 15 procent, i to po tym, jak blisko dwa miliony ludzi, głównie młodych i wykształconych, wyemigrowało. Notabene, nie licząc Wielkiej Brytanii, w ponad 90 procentach do krajów strefy euro.

Przy tym wszystkim jest jeszcze jedno kryterium, tym razem pozaekonomiczne, a mianowicie zmiana konstytucji, co wymaga 2/3 większości parlamentarnej. Przy dysfunkcjonalności polskiej demokracji może być to trudne. Harce polityczne już się zaczęły i nie mam żadnych złudzeń, że trwać będą nie tylko do czasu przystąpienia do euro, lecz i potem. Podobnie jak to było i jest z naszym członkostwem w Unii Europejskiej. Ileż to razy jako wicepremier i minister finansów w latach 2002-03 musiałem ścierać się z przejawami irracjonalności politycznej, kiedy to trzeba było pokonywać większe niż obecnie trudności – z jednej strony w finalizacji trudnych negocjacji przedakcesyjnych, z drugiej zaś pozyskiwania przed referendum sprzed dziesięciu lat większości społeczeństwa dla słusznej sprawy przystąpienia do Unii Europejskiej. Wtedy społeczeństwo

zachowało się racjonalnie, wbrew wezwaniom różnych fałszywych patriotów. Podobnie będzie i tym razem. Ale samo się to nie stanie. Trzeba wciąż argumentować i przekonywać nawet do tego, co lepsze.

Ministerstwo pracy ogłosiło niedawno, że poziom bezrobocia w lutym wyniósł 14,4 proc. Pisze Pan w swojej książce, że bezrobocie strukturalne wymaga radykalnych kroków. Jakich?

Proponuję przyspieszenie tempa wzrostu gospodarczego przy pomocy metod, które zaproponowałem niedawno w „Strategii dla Polski 2013-2025” (<http://www.tiger.edu.pl/kolodko/artykuly/RZECZPOSPOLITA-Strategia-dla-Polski.pdf>). Program ten powstał w odpowiedzi na pytanie zadane przez Prezydenta Komorowskiego, co zrobić, aby Polska gospodarka rosła (znowu to PKB) w tempie co najmniej 4 procent średnio rocznie do roku 2025.

Problem strukturalnego, dwucyfrowego bezrobocia jest nierozwiązywalny przy stagnacyjnych tendencjach gospodarczych, do których doprowadziła przesiąknięta nadwiślańskim neoliberalizmem polityka. W polskich warunkach nie da się zmniejszać bezrobocia i zwiększać zatrudnienia (to nie samo), jeśli tempo wzrostu PKB schodzi poniżej 3-4 proc. Taki wzrost jest zadowalający w USA lub Niemczech, bo tam wówczas mocno spada bezrobocie, co miało znaczący wpływ na reelekcję prezydenta Obamy i, być może, uratuje też jesienią tego roku kanclerz Merkel. W Polsce natomiast przy dynamice, która obecnie jest śladowa (tegoroczny wzrost ma według NBP sięgnąć zaledwie 1,3 proc.), czeka nas dalszy wzrost, a nie spadek bezrobocia.

Oczywiście, można stosować rozmaite instrumenty mikroekonomiczne, w postaci rozsądnego uelastyczniania rynku pracy, zatrudniania w niepełnym wymiarze, udogodnień przy angażowaniu absolwentów, wprowadzanie aktywnych form zatrudnienia, skracania czasu pracy po to, aby w sumie była ona dostępna dla większej liczby poszukującej zarobkowego zajęcia ludności. To wszystko jednak nie jest receptą na rozwiązanie problemu bezrobocia, jeśli wzrost gospodarczy schodzi poniżej 2 proc. Mówię to, bo gdy sterowałem polityką gospodarczą w latach „Strategii dla Polski”, obniżyliśmy bezrobocie o ponad 1/3, z 17 proc. do jednocyfrowego wskaźnika. Powstało wtedy ponad milion miejsc pracy, bo tempo wzrostu, gdy odchodziłem z rządu, sięgnęło aż 7,5 procent. Po raz drugi udało się to, gdy „Program Naprawy Finansów Rzeczypospolitej” dynamizował gospodarkę po stagnacji spowodowanej przechłodzeniem. Tempo wzrostu skoczyło z 0,2 proc. w IV kwartale 2001 roku do 7,0 proc. w I kwartale 2004 roku. Teraz też możliwe jest istotne przyspieszenie wzrostu – i, szerzej, zdynamizowanie wspomnianego poPKBowskiego rozwoju, ale nie poprzez kontynuację polityki rządu, choć i ta jest już nieco lepsza niż parę lat temu, lecz na ścieżce zaproponowanej w mojej „Strategii dla Polski 2013-2025”.

Masowe bezrobocie wyprowadzi ludzi na ulice?

Narastające niezadowolenie bierze się nie tylko z masowego bezrobocia i poszerzającego się zakresu wykluczenia społecznego oraz stagnacji dochodów realnych olbrzymiej części społeczeństwa. Dla wielu ludzi już od kilku lat one bezwzględnie spadają. Narastają nierówności w podziale dochodów i określające je współczynnik Giniego w Polsce już tak wysoki, że obraca się to przeciwko wzrostowi gospodarczemu. Dobrze, żeby zrozumieli to także ludzie biznesu – finansiści, bankowcy, inwestorzy, przedsiębiorcy, menedżerowie i ich lobbyści. Im prędzej to pojmą, tym lepiej i dla nich. Bo ludzie najpierw wyjdą z siebie, a potem na ulice w proteście przeciw nadmiernemu poziomowi rozwarstwienia materialnego, tak jak to się stało w Bułgarii. Będziemy mieli „polską wiosnę”; nie aż tak burzliwą, jak ta trwająca już parę lat arabska, ale też nie najspokojniejszą.

A może demokracja przestała działać?

W warunkach demokracji – którą skądinąd jest wartością samą w sobie, bez względu na to, jak wpływa na funkcjonowanie i wzrost gospodarczy – oprócz tego, że ma się rację, trzeba mieć jeszcze większość. Polska demokracja nie jest wielce funkcjonalna; utrudnia rozwiązywanie wielu problemów, ale nie będziemy przecież z tego powodu od niej się odżegnywać. Cóż, już powiedziałem, że toczy się nieustanny bój o racjonalność. I w gospodarce Polski, i w Unii Europejskiej, i na tym naszym powiązanym w fascynujący sposób świecie.

W obliczu kryzysu często mamy do czynienia, także w Polsce, z ideą powoływania rządu fachowców.

Rząd fachowców w trudnych czasach może mieć sens, ale trzeba pamiętać, że polega to również na ograniczaniu prerogatyw demokracji. Inaczej jest to rząd polityczny, który nieustannie musi się układać i szukać większości poprzez pewne kompromisy i półśrodki.

W przypadku niedawnej propozycji rządu fachowców w Polsce problem tkwił w tym, że tam w ogóle nie było fachowców od polityki gospodarczej, a przecież o to powinno chodzić. Mamy pozytywny przykład rządu fachowców w innym kraju Unii Europejskiej, a mianowicie włoski rząd Mario Montiego.

Mario Monti był związany z kontrowersyjnym, szczególnie w kontekście kryzysu finansowego, bankiem Goldman Sachs.

To, że ktoś był związany z Goldman Sachs, czy z amerykańskim kompleksem militarno-przemysłowym lub też był radcą w Kijowie, nie powinno go dyskwalifikować. Pytanie brzmi, czy ma odpowiednie kompetencje. Proszę się rozejrzeć, kogo mamy w Sejmie i w rządzie, z czym ci ludzie byli powiązani, skąd się wzięli. Na tej zasadzie możemy bardzo wielu zdyskwalifikować. Z pewnością Mario Monti był w przypadku Włoch człowiekiem, który pomógł w rozwiązaniu paru problemów i stworzeniu przesłanek do sprostania innym wyzwaniom. Pomimo to – wskutek obecnego, stworzonego przez demokrację galimatiasu – nikt rozsądny nie chciałby teraz być ministrem finansów we Włoszech. Monti też nie. Tzw. rządy fachowców zawsze wymagają nie tylko fachowców, lecz i określonych warunków politycznych.

Na koniec spójrzmy w przyszłość. Mamy szansę na polską Nokię?

To nie są czasy, w których moglibyśmy stworzyć polski produkt, który będzie mógł rywalizować na podobnej zasadzie do finlandzkiej Nokii czy niemieckiego Volkswagena. Owszem, mieliśmy w przeszłości konkurencyjne przemysły, o które należało się zatroszczyć, ale nadwiślański neoliberalizm przyczynił się wręcz do ich zniszczenia, choćby przemysłu stoczniowego czy wcześniej elektromaszynowego albo przemysłu maszyn budowlanych, który przecież jeszcze w schyłkowych latach Polski Ludowej miał dość silną międzynarodową pozycję konkurencyjną.

W wyobrażalnej przyszłości nie będzie żadnej „polskiej Noki”. Co więcej, nawet gdyby ktoś coś równie rewelacyjnego w Polsce wymyślił i skonstruował, to nie będzie to polskie, tylko zanim wejdzie na rynki, zostanie przejęte przez obcy kapitał i międzynarodowe korporacje. Aby tak się nie stało, trzeba mieć właściwą instytucjonalną obudowę gospodarki rynkowej i prowadzić politykę przemysłową, a tego – jak wiemy – neoliberalizm się brzydzi. To przecież jeden z nadwiślańskich neoliberalistów w czasach szoku bez terapii wypowiedział idiotyzm, że „najlepsza polityka to brak polityki”. No a jaka polityka, taka i gospodarka.

Czy widzi Pan zatem obszary, w których Polska mogłaby budować swoje przewagi konkurencyjne na międzynarodowych rynkach?

Tak, są takie obszary. Dziś polska gospodarka powinna być zdywersyfikowana, czyli zamiast jednej specjalizacji, mieć ich wiele różnych w różnym zakresie. Żadnego wystrzału a la Nokia, ale niejeden produkt, usługa, technologia. Powinniśmy rozwijać przemysły przetwórcze i produkty

oparte na miedzi, bo mamy tu pewną przewagę. To nie jest co prawda wielkie high-tech, ale produkty nośne i zawsze potrzebne. Mamy pewne osiągnięcia i w niektórych niszach rynkowych niezłą – i dlatego też godną wsparcia – pozycję w przemyśle farmaceutycznym, sprzętu medycznego i paru innych. Są też przemysły, którym warto się przyjrzeć ze względu na to, że radzą sobie świetnie bez żadnego wsparcia rządowego w czasach kryzysu, jak np. przemysł meblarski, który potrafi wyeksportować do ponad stu krajów towary o wartości przekraczającej rocznie 10 mld dolarów.

Kolejny obszar to żywność ekologiczna. Polska powinna być pod tym względem wręcz potentatem, jeśli nie światowym, to co najmniej europejskim. Popyt na tego typu żywność będzie rósł. Można znakomicie wykorzystać niszczone tereny po dawnych PGR-ach na zasadzie wieloletnich kontraktów, które będą dostarczały żywność do potentatów surowcowych na Bliskim Wschodzie w zamian za długoletnie dostawy surowców energetycznych. Chętnie zawarłyby z nami 99-letnie kontrakty typu ropa albo gaz za żywność takie kraje, jak Arabia Saudyjska, Katar, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Oman.

Dużo więcej natomiast niż po nowinkach produktowych obiecywałbym sobie po istotnej zmianie struktury naszego eksportu.

Dziś jesteśmy uzależnieni od Niemiec.

Za bardzo. Nie można dopuszczać do sytuacji, w której ponad 25 proc. eksportu zależy od dużego sąsiada na Zachodzie, podczas gdy na Wschodzie mamy głęboki strukturalny deficyt i niskie obroty handlowe. Ekspansja polskiej gospodarki, polskich przedsiębiorców i inwestycji w sposób zdecydowany musi skierować się na sąsiadujący z nami Wschód, czyli Białoruś, Ukrainę i Rosję, a także na ten wschód dalszy, zwłaszcza Indie, Chiny i kraje ASEAN-u. Wymaga to wszakże innego podejścia do pewnych problemów politycznych. Trudno, aby rozkwitły stosunki gospodarcze w czasie, gdy marne są stosunki polityczne. A tu pojawia się naprawdę olbrzymia szansa na ekspansję polskich przedsiębiorców.

Zaiste, niejedno trzeba zmienić w polityce, aby sytuacja wyraźnie znowu poprawiała się w gospodarce. Nie tylko w Polsce. I o tym wszystkim piszę w książce „Dokąd zmierza świat. Ekonomia polityczna przyszłości”. Zapraszam Czytelników do dyskusji na [mojej stronie](http://www.facebook.com/kolodko) (<http://www.facebook.com/kolodko>) oraz na [blogu](http://www.wedrujacyswiat.pl/blog/kolodko/) (<http://www.wedrujacyswiat.pl/blog/kolodko/>). Jest o czym rozmawiać.

Prof. Grzegorz W. Kołodko - intelektualista i polityk, jeden z głównych architektów polskich reform gospodarczych. Członek Europejskiej Akademii Nauki, Sztuki i Literatury. Dyrektor Centrum Badawczego Transformacji, Integracji i Globalizacji TIGER w Akademii Leona Koźmińskiego (www.tiger.edu.pl). Wicepremier i minister finansów w latach 1994-97 i 2002-03. Ekonomista i autor interdyscyplinarnych prac naukowych opublikowanych w 26 językach. Podróżnik i maratończyk.

Rozmawiał Kamil Nowak